

Trans-Atlantyk: Mińsk–Lublin

Wyjazd

Każdy emigrant ma swoją własną historię wyjazdu-przeprowadzki. Oczywiście nigdy tej historii nie zapomni. Zawsze będzie mieć ją pod ręką, w najbliższej szufladzie komody pamięci. Witold Gombrowicz zapamiętał to tak: „Dwudziestego pierwszego sierpnia 1939 roku ja na statku «Chrobry» do Buenos Aires przybijałem. Żegluga z Gdyni do Buenos Aires nadzwyczaj rozkoszna... i nawet niechętnie mnie się na ląd wysiadło, bo przez dni dwadzieścia człowiek między niebem i wodą, niczego nie pamiętny, w powietrzu skąpany, w fali roztopiony i wiatrem przewiany”.

Moja historia – w porównaniu z tymi, którzy musieli uciekać przez lasy i przepływać graniczne rzeki – jest całkiem zwyczajna. Jednak co jakiś czas staje mi przed oczami, bez mojej zgody, jak fragmenty filmu oglądanego dawno temu.

Nocny autobus Mińsk–Warszawa. Ja z przerażoną kotką Chloe, plecakiem, torbą i ogromną walizką, w połowie wypchaną książkami o sztuce.

(„Przywiołem ze sobą sztukę” – żartowałem potem).

Autobus nabit do granic możliwości – być może ludźmi podobnymi do mnie.

Za oknem machają rodzice. Ojciec ma zagubioną twarz. Matka płacze.

Zimna, kwietniowa tęsknota. Dworcowe żółte latarnie przypominają oczy chorego na żółtaczkę. Patrzę w nie.

I nagle przez głowę przelatuje myśl:

„Nigdy tu już nie powrócę”.

Nie obietnica, nie przecucie, nie proroctwo.

Po prostu myśl, która być może nic nie znaczy.

Albo nie znaczyła.

A może była to obietnica, i przecucie, i proroctwo.

To się okaże.

Przygotowania do odjazdu trwały trzy tygodnie. Właściwie nie tyle przygotowania, ile wymazywanie własnych śladów. Moją ukochaną bibliotekę przekazałem jednym przyjaciółom, archiwum, kolaże, grafiki, dzienniki, dokumenty – innym. Coś zostało sprzedane, coś oddane, coś wyrzucone.

Codziennosc rozsypała się. Ślady zostały zatarte.

Działatem zdecydowanie i konsekwentnie.

O niczym nie zapominałem.

Zapomniałem.

Przy samej granicy uświadomiłem sobie, że nie wykupiłem ubezpieczenia.

A więc mogą nas, mnie i Chloe, po prostu odesłać z powrotem.

(Chyba na chwilę mnie sparaliżowało).

Ale nikt nie zapytał o ubezpieczenie.

I tak – nieubezpieczony od niczego – przyjechałem do Polski.

Czytam Gombrowicza: „Nigdy tych pierwszych dni moich w Argentynie nie zapomnę.

Nazajutrz, jakem tylko w moim pokoiku zbudził się, doszedł mnie przez ścianę Staruszką płacz, jęki i biadolenie, a ze skarg jego to tylko zrozumiałem «guerra, guerra, guerra». Jakoż gazety krzykliwym głosem wybuch wojny obwieszczały, ale i co tam kto wiedział, bo jeden mówi, że tak, drugi, że siak, a rozejdzie się po kościach, nie rozejdzie, biją się, nie biją i tak nic, a Szaro, Głucho, jak w polu na deszczu. Dzień był jasny, pogodny. Ja w tłumie zgubiony, mojem zgubieniem się cieszyłem i nawet do siebie na głos powiadam: «Nic piskorzowi, kiedy raka biją. A tam biją!»”.

Tam biją.

Przybycie

Wczesny poranek, nie do odróżnienia od nocy. Początek nowego dnia. Nowy początek wszystkiego. W czarnym oknie autobusu przemykają tańcuchy światła, jest ich coraz więcej – aż nagle, jak głęboki wdech – przepaść. Za kratą mostu zabłyśła Wisła. Z ciemności wyłaniają się znajome kontury miasta. Rozpoznaję je, bo byłem tu już wiele razy – beztroski, lekki – artysta w trasie, turysta, podróżnik.

Z głośników dobiega mechaniczny głos kierowcy:

– Szanowni państwo, Warszawa!

Dziesięć godzin wcześniej wypuściłem powietrze w jednej stolicy, a teraz wdycham je w drugiej.

Stoję na dworcu, otoczony własnym bagażem – artefaktami dawnego życia.

Chloe kuli się w rogu transportera. Mimo wczesnej godziny dworzec tętni życiem – to uchodźcy z Ukrainy. Trwa drugi miesiąc wojny. Smutna, dziwna kobieta, patrząc na nasz pusty autobus, ostrożnie pyta:

– Was też już bombardują?

Przechodzące obok dziewczyny wolontariuszki, widząc moją kotkę, uśmiechają się szeroko i szczebioczą:

– O, jaka piękna!

– Jaka śliczna!

Jeszcze nie rozumiem znaczenia tych słów. Ale wiem, że oznaczają coś dobrego.

Świt. Słońce już prawie wstaje. Początek nowego dnia. Nowy początek wszystkiego.

– Szanowni państwo, przystanek końcowy.

Ale moja podróż dopiero się zaczyna.

Adaptacja

Jestem emigrantem wzorcowym. Zaliczyłem wszystkie fazy adaptacji: euforyczną, turystyczną, orientacyjną, depresyjną i stabilizacyjną.

Dwa pierwsze stany są bardzo przyjemne. Przypominają wielką, radosną podróż. W płucach mnóstwo powietrza. Po długim okresie bez powietrza nawet przypadkowy przeciąg wydaje się huraganem Wolności. Strach powoli odpuszcza. Wstrętny, codzienny strach. Trzeba od nowa uczyć się nie bać dzwonka domofonu, nie siadać na telefonie, gdy rozmawia się o czymś zakazanym, by nikt nie podsłuchał. Trzeba uczyć się nie wzdrygać na widok policji. Nagle okazuje się, że można nawet nosić koszulę w biało-czerwone paski, nie obawiając się konsekwencji.

(Pamiętam, jak w pierwszych dniach po przyjeździe ciągle dziwiłem się, widząc polską flagę. Spoglądałem na nią z okna nowego mieszkania. Jak takie połączenie kolorów może tak po prostu być na ulicy? Na oczach wszystkich?)

Wszystko, co nowe, przyciąga uwagę, zachwyca. A nowe jest teraz dosłownie wszystko i jest tego dużo, więc rozpuszczając się w tym, sam na jakiś czas stajesz się nowy, na nowo zachwycający. Ciało wypełnia dawno zapomniana lekkość.

Więzień wypuszczony z lochu do ogrodu.

Zamiast kajdan – girlandy kwiatów.

Wydaje się, że tak już będzie zawsze.

Nie będzie.

Jak można było zapomnieć, że nic nie trwa wiecznie?

Jak można było zapomnieć, że równowaga jest krucha i niestabilna.

Jak można było zapomnieć, że euforyczna harmonia to żadna harmonia, lecz trampolina do skoku nad przepaścią.

Czesław Miłosz, patrząc wstecz na swoje życie, uchwycił tę bipolarną naturę istnienia:

„Paszcza lewiatana

Zamyka się na mnie.

Nagi leżałem na brzegach

Bezludnych wysp.

Porwał mnie w otchłań ze sobą

Biały wieloryb świata”.

Emigrant dobrze wie, że między Białym Wielorybem a strasznym Lewiatanem jest tylko jeden plusk fali.

Wielka podróż

Wyszedłem i poszedłem. Lublin. Wczesny wiosenny poranek. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani w którą stronę iść. Daleko? Blisko? Pierwsze kwietniowe ciepło. Nic jeszcze nie wiem o tym miejscu, o tym mieście, o tym świecie, w którym się znalazłem. Nie znam nazw ulic, nie wiem, dokąd prowadzą. Gdzie się zaczynają, a gdzie kończą. Idę wzdłuż długiego płotu i trafiam na dziedziniec porośnięty krzakami. Ślepa uliczka. Zawracam i idę z powrotem. Wybieram, gdzie skrócić, przy którym świetle przejść na drugą stronę. W prawo czy w lewo? A co za różnica? Każdy wybór będzie dobry. Tego poranka nie da się pomylić. Skręcam w prawo – czerwone, zielone – przechodzę. Ale zaraz rozmyślam się. Wracam. Idę w przeciwną stronę. Nie wiem, dokąd zmierzam. Ale wiem, że tam trafię, bo nie ma tak, żeby iść i dotrzeć donikąd.

Dobrze mi. Dlaczego mi tak dobrze?

„Kiedy ostatni raz czułeś się tak dobrze?”

Chyba nawet jestem szczęśliwy.

W młodości zdarzało mi się wsiąść do pierwszego lepszego autobusu i jechać w nieznanym kierunku, aby wysiąść na przypadkowym przystanku w obcej dzielnicy, żeby się zgubić. Nabrać dystansu. Zniknąć. A potem szukać drogi powrotnej na oślep.

Później w tym odosobnieniu/zanikaniu najlepiej pomagały mi spacer i papierosy. Kiedy rzuciłem palenie, zostały mi tylko wielogodzinne codzienne wędrówki. W długim chodzeniu jest jakaś zdumiewająca medytacyjna siła. Ta siła potrafi wyrwać cię z codzienności, podnieść ponad światem, który powstał bez twojego udziału.

Chyba jestem szczęśliwy...

Nic mnie nie boli, nic mnie nie trapi, nic mnie nie dręczy, nic mnie nie przeraża. Nie ma żalu, niepokoju, smutku. Czy człowiek może się tak czuć?

„Jakże ty się nie boisz – pyta Gombrowicz – jeżeli Bać się powinienes? Czemu się nie dziwisz, jeżeli dziwić się potrzeba? Czemu ty tak Siedzisz, czemu Nic nie Robisz, gdy Biec, Pędzić trzeba? Gdzie strach twój, gdzie wzburzenie twoje? I już to coraz większa Trwoga moja z przyczyny, właśnie, braku Trwogi, a w pustce, w ciszy, jak Bania urasta i gniece”.

Krok za krokiem. Idę do nowego domu, nie znając nawet jego dokładnego adresu. Ale pamiętam, jak wygląda i które to piętro. Trzeba wspinać się długo po starych drewnianych schodach, a pod samym dachem, za białymi, obdrapanymi, niskimi drzwiami czeka na mnie moje pierwsze emigranckie schronienie.

Tam czeka na mnie Chloe. A więc można powiedzieć, że idę do domu.

Idę do domu. Nie, nie idę...

Wielki Biały Wieloryb niesie mnie na swoim lśniącym grzbiecie.

Przeszłość zatonała, spadła na samo dno. Przyszłość – gdzieś tam, za dalekim horyzontem. Nie jest w stanie ani mnie poruszyć, ani zaniepokoić.

Krok za krokiem. Tylko tu i tylko teraz. Krok za krokiem. Tu i teraz. Znana praktyka terapeutyczna: „bycie w chwili”.

Nigdy w to nie umiałem, aż do teraz, gdy „chwila” sama ofiarowała mi się w darze.

Jeśli nie wiesz, o co prosić Białego Wieloryba – poproś o Prezent. On wie, czego potrzebujesz.

Nieliczni przechodnie (nadal jest bardzo wcześnie) patrzą na mnie z ciekawością. „Czy wiedzą, że jestem emigrantem? Obcym? Czy da się poznać po mojej twarzy, że nie jestem Polakiem? Przynajmniej dopóki się nie odezwę?”

Pamiętam – kiedy miałem ze dwadzieścia lat i los nie zdążył mnie jeszcze poturbować, przewrócić z nóg na głowę, jak ma to w zwyczaju – szedłem gdzieś rozpromieniony, w podniosłym, jasnym nastroju. Mijająca mnie dziewczyna spojrzała na mnie i mruknęła z sarkazmem:

– Ile zachwytu na tej twarzy!

Może również i dziś ta nieoczekiwana wewnętrzna wolność, ta złapana „chwila” świeci się w moich oczach, na ustach, czole i policzkach – i wzbudza zainteresowanie, bo wczesny poranek to nie pora na pokaz wielkich uczuć.

Chwila wolności egzystencjalnej. Gombrowicz też ją znał, choć nie wierzył w wolność jako stan permanentny, dany raz na zawsze i trwały.

„Wmawiać nam że jesteśmy wolni, nam ofiarom, męczennikom, niewolnikom po uszy w chorobach, nałogach, żądzach, zawsze w kieracie, w znoju, w strachu, zagonionym, zahukanym? Doświadczamy najohydniejszej niewoli od wczesnego ranka do późnego wieczora... a tu wolność”. (...) „Życie zna tylko kategorie przykrości i przyjemności. Świat istnieje dla nas tylko jako możliwość bólu, lub rozkoszy. Świadomość, póki nie jest świadomością bólu lub rozkoszy, nie ma dla nas znaczenia” (...). [P]rzykrość (a więc i przyjemność) jest z istoty swojej sprzeczna z pojęciem wolności. Powiedzieć, że zachowujemy jakąś zasadniczą możliwość wolności wobec cierpienia (która byłaby związana z celowością określającą nasz system wartości; i choćby nawet była tylko wolnością «w sytuacji»), to przekreślić w ogóle sens tego słowa. Cierpienie to coś, czego ja nie chcę, co muszę «wycierpieć», istotny jest tutaj przymus, czyli brak wolności. Trudno o większe przeciwieństwo niż cierpienie i wolność”.

Wyobcowanie – uwolnienie – wolność. Wolność tu i teraz. Indywidualna. Moja. Bez manifestów, ideologii, zbiorowych tęsknot, programów i utopii.

Gdy wszelkie próby wpływu na wspólną niewolę kończą się klęską, zostajesz sam na sam ze swoją własną. Własną niewolą – porzuconą, zapomnianą w imię wspólnego dobra. Nie ma w niej miejsca na „my”. I nikt spośród tego „my” nie może ci pomóc. Osobista niewola każdego człowieka jest inna. Własna. I wolność, choć momentalna – też własna.

Wychodzę na skrzyżowanie, na którym na wysokim maszcie powiewa ogromna flaga. Przechodzę obok krzewów i siadam na pierwszej lepszej ławce, by chwilę odetchnąć

w tym swoim zachwycie. Znów i znów rozpakowuję bezcenny dar Białego Wieloryba. Nie chcę, żeby ta podróż się skończyła. Nie chcę innej chwili. Jest mi dobrze. Nawet wydaje mi się – tak, prawie jestem tego pewien – że jestem szczęśliwy. Uczucie dawno zapomniane. Tak długo niemożliwe. Kiedy twój świat (i w ogóle Świat) rozsypuje się i leci gdzieś w otchłań – automatycznie odbierasz sobie prawo do odczuwania czegokolwiek poza grozą. Winisz się za każdą próbę odwrócenia wzroku od przepaści choć na ułamek sekundy. Obwiniasz się za to, że nie chcesz się w nią gapić.

Odwracam głowę – rozpoznaję dachy Starego Miasta. A nie mówiłem? Trafiał! Do domu zostało dwadzieścia minut spacerkiem.

Idę najwolniej, jak się da, żeby odwlec nieuchronny koniec mojej Wielkiej Podróży.

Wiem, że niedługo z tego daru zostanie tylko strzępek opakowania.

I moja twarz – czoło, policzki, oczy – nie będą już wzbudzać ciekawości przechodniów.

Wiem, że ta chwila już się nie powtórzy.

(Nie dostaje się raczej dwa razy tego samego prezentu, chyba że przez pomyłkę).

Ale spróbuję to powtórzyć.

Spróbuję sam sobie dać.

Krok za krokiem. Sam sobie.

Całuję na pożegnanie lśniący, śnieżnobiały grzbiet wieloryba i zeskakuję na chodnik jedynej dobrze mi znanej ulicy.

Czuję się przez chwilę jak Witold w Kosmosie i myślę, że „w czasie jazdy rzeczy ukazują się tylko po to, żeby zniknąć, rzeczy są nieważne, a też nieważny krajobraz, jedyne co pozostaje, to ukazywanie się i przepadanie. (...) Zresztą (myślałem) prawie zawsze jest się nieobecny, lub raczej nie w pełni obecnym, a to wskutek naszego ułamkowego, chaotycznego i prześlizgującego się, niecnego i podłego obcowania z otoczeniem (...)”.

Nagle prądy powietrza cichną, lato zamienia się w jesień i znów dotykasz ziemi, wracasz do siebie. To Nowe, które cię kołysało, kręciło, opatrywało rany – to nowe powoli staje się zwykłe.

Powszechne.

Życiowe.

Czas zdecydować, co robić dalej.

A co gorsza – trzeba zdecydować, KIM dalej być.

Ale nawet najbardziej żywotna gałązka, zanurzona w wodzie, nie wypuszcza korzeni od razu.

I wtedy podczas kolejnego spaceru nagle pojawia się pytanie:

„Co ja tu właściwie robię?”.

Oczywiście wiem, co robię, wiem, dlaczego tu jestem.

Ale to pytanie-rozgrzewka, prolog, wstęp do znacznie bardziej niepokojącego pytania: „Kim jestem? Kim teraz jestem?”. To pytanie budzi lęk. Utkwiło więc na obrzeżach świadomości. Niewypowiedziane wprost.

„Kim teraz jestem?”

„Nie widzę przed sobą nic..., żadnej nadziei – słyszę głos z głębi czasu, głos z Buenos Aires. – Wszystko mi się wykańcza, nic nie chce się zacząć. Bilans? Po tylu latach, jednak wytężonych, jednak pracowitych, kim jestem? Urzędnikiem zarżniętym siedmioma godzinami urzędowania, zdławionym we własnych przedsięwzięciach pisarskich. Nie mogę nic pisać poza tym dziennikiem”.

Kim teraz jestem?

„«Ja przekorny, ja upiorny, ja rozbawiony, ja umęczony, ja żyjący, ja umierający» – słyszę cichnący głos z Vance”.

Kim teraz jestem?

„Poniedziałek

Ja (?)

Wtorek

Ja (?)

Środa

Ja (?)

Czwartek

Ja (?)

Piątek (...)

Ha, ha. Jakbym w tamtym życiu znał odpowiedź.

Nie znałem. Tamto życie było znajome i w pewnym sensie zrozumiałe. Na tamtych drogach były (czy wciąż są?) ślady moich stóp – stąpając tamtędy, mogłem z większym prawdopodobieństwem przewidzieć, dokąd dojdę. Ale naiwniak ze mnie! Teraz zaś...

Emigrant. Obcy. Obcokrajowiec.

W tamtym życiu to były tylko słowa.

Teraz to jestem ja.

Emigrant. Obcy. Obcokrajowiec.

„Wiele razy patrzyłem na niego.

(...) Szczegóły uwydatniały się coraz lepiej, coraz straszniej zewsząd wyłaziły mu części ciała, pojedyncze części, a te części były dokładnie określone, skonkretyzowane... do granic haniebnej wyrazistości... do granic hańby... Widziałem palec, paznokcie, nos, oko, udo i stopę, a wszystko wyprowadzone na wierzch (...) ruszyłem na niego – i nie mogąc już powstrzymać wyciągniętej ręki trzasnąłem w twarz pełnym zamachem. Precz! Precz! Nie, to nie ja! To coś przypadkowego, coś obcego, narzuconego przez jakiś kompromis pomiędzy światem zewnętrznym a wewnętrznym, to wcale nie moje ciało!”

Próbuję się przyzwyczaić. Nie udaje mi się.

Idę i powtarzam: „Jestem emigrantem, jestem obcym, jestem obcokrajowcem”.

Próbuję się przyzwyczaić, ale słowa nie stapiają się ze mną w jedno.

Staram się rozpoznać samego siebie, patrzę w niebo i z pamięci mówię: „Ileż wątków mogło uformować się jednocześnie z moim, ile sensów dojrzewać niezależnie od mojego – ledwie wyłaniających się, larwalnych albo zniekształconych, lub zamaskowanych. (...) Wszystko znaleźć można w kotle bezdennym stających się zdarzeń! (...) Uśmiechnąłem się przy księżycu na myśl łagodną o bezsilności umysłu wobec rzeczywistości przerastającej, spowijającej... Nie ma kombinacji niemożliwej... Każda kombinacja jest możliwa... (...)”.

Pewnego razu w parku, pośród róż i pawie, napotkałem wzrok pewnej starszej pani. Siedziała na wózku inwalidzkim, a troskliwa opiekunka trzymała ją za niemal przezroczystą rękę. Staruszka wskazała na mnie palcem i coś wychrypiąta.

– Nie znamy tego pana – powiedziała opiekunka.

Ale jej podopieczna znała „tego pana”. Rozpoznała „tego pana”. W jej stuletnim jeziorze (teraz raczej zapomnienia) „pan” odbił się wyraźnie – i być może był bardziej żywy niż kiedykolwiek.

Bardziej żywy niż pawie i róże.

Bardziej żywy niż samo życie.

„Bądź zawsze obcy – doradza mi Gombrowicz – bądź niechętny, nieufny, trzeźwy, ostry i egzotyczny. Trzymaj się, chłopczel! Nie daj się swoim oswoić, przyswoić! Twoje miejsce nie jest wśród nich, ale poza nimi, jesteś jak sznur, zwany przez dzieci skakanką – wyrzuca się go przed siebie aby przeskoczyć”.

Czy czuję się obco? Może. Ale nie, nie czuję się obcym. Jak to jest – czuć się emigrantem? Być nim naprawdę? Co trzeba robić? Tęsknić? Czuć nostalgię?

Nigdy nie czułem nostalgii.

Nie czułem i nie czuję.

Choć wydawałoby się, że jest teraz na nią najlepszy moment.

Nostalgia to coś w rodzaju łagodnego barbituranu, ciepłej kąpieli, futra z lisa. Otula, koi umysł przestraszony rzeczywistością. Rozluźnia ciało poranione niepokojem. Z jakiegoś powodu nie dano mi tej opcji.

Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Nie potrafię zanurzyć się we wspomnieniach, a tym bardziej czerpać z nich przyjemności. Nawet te najpiękniejsze i najlepsze wydają mi się tylko niemymi eksponatami, prehistorycznymi kośćmi za muzealną szybą – pozbawionymi ciała i krwi. Patrząc na nie, zawsze czuję to samo: Minęło – i dobrze!

Nostalgia to przecież przyjemność. Słodko-gorzka. Jak ciastko. Dla emigranta może być zarówno kołem ratunkowym, które pomaga nie utonąć w obcych wodach, jak i kowicą, która nie pozwala ruszyć w nową podróż.

Jestem pewien, że nawet te trudne czasy w przyszłości wywołają u kogoś ciepłe fale wspomnień. Nostalgia – jak każdy skuteczny środek w dużych dawkach – odurza i zamazuje obraz.

A we mgle kryją się chimery.

A dla mnie:

Minęło – i dobrze.

Nie.

Świetnie!

...a jednak...

Piosenka Zagubienia, przerywająca arię Zachwytu.

„Jestem obcy, jestem emigrantem, jestem cudzoziemcem”.

„Musimy wytworzyć – Gombrowicz nie daje za wygraną – tę porcję swobody, śmiałości i bezwzględności, a nawet powiedziałbym – nieodpowiedzialności, bez której twórczość jest niemożliwa”. Namawia mnie: „Trzeba nam po prostu oswoić się z nową skalą naszego istnienia. Będziemy musieli potraktować z zimną krwią i bezceremonialnie najdroższe nam uczucia, aby dojść do nowych wartości. Z chwilą, gdy zabierzemy się do kształtowania świata, z tego miejsca w jakim się znajdujemy i tymi środkami, jakimi dysponujemy, ogrom się zmniejszy, bezmiar nabierze formy i poczną opadać wzburzone wody chaosu”.

Jak długo byś siebie nazywał Człowiekiem Świata, świat tak długo uczyłby cię być Człowiekiem Miejsca, tak że przekonać go (siebie?) do czegoś innego wcale nie jest łatwe. Byłem dość kiepskim uczniem, nie udało się wychować mnie na Człowieka Miejsca. To po prostu nie wyszło.

Niektórym udaje się związać z Miejscem, gdy odwołują się do korzeni i „głosu przodków”. Ale czy ten chwyt może zadziałać, jeśli w historii mojej rodziny zmieszana się krew

białoruska, polska, mordwińska, rosyjska? A niedawno, zupełnie niespodziewanie, test DNA wykazał, że jestem prawie w połowie Bałtem. Wychodzi na to, że w pewnym sensie mogę nazywać siebie emigrantem z dziada pradziada, bo żeby połączyć się we mnie, moi niewidzialni przodkowie porzucali swoje Miejsca i przenosili się w inne. I czynili inne miejsca swoimi.

Na przykład moja polska prababcia Franciszka przeżyła 103 i pół roku z całkowicie jasnym umysłem i z „sercem 25-letniego mężczyzny” (jak powiedział lekarz). Upadł carat. Komunizm też upadł. Dwie wojny światowe zaczęły się i skończyły, a ona dalej żyła jak góra. Jak rzeka. Jak wiekowa sekwoja na obcej, dalekiej ziemi, która przez wiek stała się jej ziemią.

Albo nie stała się..., tego już nie wiem.

Faza orientacyjna łapie cię za kark i wciąga w samo serce lewiatanowego królestwa. Jesteś coraz dalej od pięknego Białego Wieloryba.

W zakładzie fotograficznym robię zdjęcia do dokumentów.

– Niech się Pan uśmiechnie – mówi zwinna, drobna dziewczyna, trzymająca w rękach duży aparat fotograficzny.

Uśmiecham się.

– Można jeszcze bardziej?

Uśmiecham się szerzej.

– Jeszcze szerzej.

I jeszcze.

– A teraz wybierzemy zdjęcie – mówi druga dziewczyna siedząca za monitorem komputera.

Zatrzymujemy się na zdjęciu „z uśmiechem”.

– To jest całkiem ładne – mówi.

Wybieram je, choć słowo „ładne” to ewidentna przesada.

To jednak nie przypomina uśmiechu.

To raczej skurcz. Mieszanka ukrytej niepewności i gorzkiego sarkazmu na ogromnej (z jakiegoś powodu) twarzy.

Po mnie fotografowała się kobieta. Chyba Ukrainka.

– Niech się pani uśmiechnie.

Jeszcze bardziej.

I jeszcze.

Pani radzi sobie z tym dużo gorzej niż ja.

Uśmiecham się, żegnam, dziękuję...

Gombrowicz sądził, że „(...) ziemia, po której stąpamy (...), pokryta jest bólem, brodzimy w nim po kolana – i jest to ból dzisiejszy, wczorajszy, przedwczorajszy, oraz sprzed tysiącleci – albowiem nie trzeba się łudzić, ból nie rozptyla się w czasie i krzyk dziecka

sprzed trzydziestu wieków nie jest ani trochę mniej krzykiem od tego, który trzy dni temu się rozlegał. Jest to ból wszystkich pokoleń i wszystkich istnień – nie tylko człowieka. (...) Człowiek – i to jest pewne – z natury nie jest zdolny pojąć zła”.

Kim więc jestem? Kim teraz jestem?

Gdy trafiasz do „mrocznej dzicy”, potrzebujesz podpowiadacza, pomocnika, przewodnika. Swojego własnego Wergiliusza, kogoś, kto nawet jeśli nie pokaże ci wyjścia, to przynajmniej przekona cię, że ono istnieje. W ciągu tych trzech lat emigracji moimi przewodnikami i rozmówcami byli w różnych momentach poeci Tadeusz Różewicz, Czesław Miłosz i Józef Czechowicz, malarze Witold Wojtkiewicz, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Olga Boznańska i inni. Prowadzili mnie, otaczali opieką, przekazywali mnie sobie nawzajem z rąk do rąk, ani razu mnie nie upuszczając.

A teraz nowy przewodnik wychodzi z cienia. Nie – nie wychodzi, lecz rozbłyska! Oświeca mnie jak flara sygnałowa tonący statek. Witold Gombrowicz – polski pisarz (niemal nieznany na Białorusi), emigrant, szyderca, demaskator fałszu i narzuconych form. Bezwzględnie szczery i odważny (och, gdybym ja miał taką odwagę!), a jednocześnie boleśnie wyobcowany – jak ja teraz. (Jak ja zawsze?)

Dlaczego on tyle o mnie wie?

On mówi:

„Moja suwerenność, samoistość, czy nawet lekkomyślna beczelność, bimbanie na wszystkich, wszechstronna prowokacja i wyłączne opieranie się na sobie – to wszystko wynikało z mojej sytuacji społecznej i geograficznej. Byłem zmuszony nie liczyć się z nikim, gdyż ze mną się nie liczone – urobiłem się w odosobnieniu prawie zupełnym – myślę, że chyba niewielu literatów zaznało aż takiego odludzia. (...) Stałem się śmiały, ponieważ nic absolutnie nie miałem do stracenia: ani honorów, ani zarobków, ani przyjaciół. Musiałem odszukać siebie i oprzeć się na sobie, ponieważ na nikim innym nie mogłem się oprzeć. Moja forma to moja samotność”.

Skąd on tyle o mnie wie?

Skąd ja tyle o nim wiem?

Homo emigrantus – człowiek bez skóry.

Człowiek zagubiony.

Człowiek bez języka.

„Chcę być zdolny do przełożenia siebie na język zwyczajny”.

– Dlaczego tak stresujesz się z powodu języka? – pyta mnie mój polski znajomy.

– Przecież rozumiem cię, ty mnie też. W czym problem?

Kiedy ktoś mówi: „Rozumiem cię”, najczęściej ma na myśli: „Rozumiem to, co mówisz”. A do takiego rozumienia wystarczy podstawowy zasób słów, mimika i gesty. Prawdziwy problem, z którym zderza się człowiek, trafiając w nową językową rzeczywistość, to całkowita niemożność zwykłego, znajomego wyrażania siebie słowami. Te nowe słowa, ta nowa mimika, te gesty i intonacje – one nie są twoje. To nie jest twój głos, twój temperament, twój rytm, twoja tonacja.

Czy naprawdę jestem aż tak skrzepowany?

Czy naprawdę jestem aż tak milczący?

Czy naprawdę... taki jestem?

I najważniejsze nie wydaje się nawet to, że ktoś inny może cię nie zrozumieć, ale to, że sam przestajesz siebie rozumieć.

Nie poznajesz siebie.

Nie przesadzaj – droczy się ze mną Gombrowicz: „Ale jakaż rozkosz mówić nie dla kogoś, a dla siebie! Gdy każde słowo utwierdza cię silniej w sobie, przysparza ci siły wewnętrznej, wyzwala z tysiąca strachliwych kalkulacji, gdy mówisz nie jak niewolnik efektu a jak człowiek wolny!”.

Pierwsze słowa

Z moich obserwacji wynika, że emigranci dzielą się na dwie grupy, przynajmniej na początku swojej emigracyjnej drogi. Jedni postrzegają emigrację jak śmierć (z nadzieją na Zmartwychwstanie). Drudzy – jak narodziny. Każda grupa operuje odpowiednim zestawem emocji i wrażeń.

Kiedy przyjechałem, czułem się dokładnie jak noworodek. Pomarszczony i przestraszony. Wywrzeszczałem cały swój strach jeszcze w łonie matki. Jednak z każdym dniem ból porodowy odchodził w zapomnienie, a moje policzki różowiły. Wąska linia ust, unosząc się po bokach, zaczynała przypominać uśmiech.

Każde dziecko zazwyczaj wypowiada jakieś słowo jako pierwsze.

Ja miałem od razu dwa – „cmentarz” i „żółt”.

I niech nikt mnie nie pyta dlaczego.

Nie potrafiłem jeszcze zamówić po polsku filiżanki kawy, ale znałem te dwa dziwne, zbędne słowa. Taki był początek mojego nowego słownika, ewidentnie niewystarczającego do nowego życia.

Przez pewien czas było to po prostu uroczą anegdotą, lekkim, swobodnym żartem:

– Wiesz, jakie były moje pierwsze polskie słowa? Otóż takie!

Można umrzeć ze śmiechu.

(Nie można! Przecież dopiero się urodziłem).

Ale przecież nic nie dzieje się przypadkiem. A jeśli już – to bardzo rzadko.

Zawsze wydawało mi się, że wszystko, co się zdarza, koniecznie odbija się gdzieś indziej. Można by powiedzieć: rymuje się z czymś.

Wszystko, co istnieje, jest jakby oplecione nieskończoną nitką koralików ze snów, przypadków i zbiegów okoliczności. Każdy paciorek, jak w kołysce Newtona, uderzając w sąsiedni, wprawia w ruch inny – całkiem odległy. Z drugiego końca.

– ...Puk-puk.

– Puk-puk.

Mówią, że to jest właściwość naszej świadomości: fanatycznie wszędzie doszukiwać się analogii i korelacji. A może jednak nasz świat naprawdę składa się z analogii i korelacji? I właśnie dlatego nasz główny radar jest nastawiony na ich nieustanne poszukiwanie.

Nie szukałem specjalnie ani odbić, ani rymów. Byłem na to za mały. Pomarszczony, z miękkimi kośćmi. Ale po roku – same mnie znalazły. Byłem już silniejszy, nauczyłem się chodzić.

W Lublinie jest obóz zagłady – Majdanek.

Wprost na terenie miasta.

Zdarzało się, że przejeżdżałem obok kilka razy w tygodniu – oto domy i drzewa rozstępują się, przysiadają, a za nimi, nad nimi, jak łysina wyrasta niebo, po którym przepływają kolejno: kopuła mauzoleum, wieże strażnicze, komin krematorium, płaskie dachy baraków.

Miejsce pozbawione koloru.

Emanacja trwogi i pustki.

...Emanacja trwogi i pustki – to coś z poprzedniego życia.

Coś bardzo znajomego.

(Na nitce błysnął paciorek z antracytu, a inny, bordowy, zabłyszczał, mrugnął? w odpowiedzi).

Ale w tej samej chwili kwitnące drzewa i schludne, czyste domki z dziecięcymi huśtawkami w ogródkach zastąpiły to straszne bielmo.

I ptaki, zdaje się, zaśpiewały głośniejsze.

Barak z prysznicami jest wypełniony po brzegi.

Ci, którzy nie zmieścili się, pokornie czekają na zewnątrz.

Klaustrofobia. Duszności.

Sufit leży na głowach.

Ciszę przerywa ledwo słyszalna, monotonna opowieść przewodnika i... nagle... dźwięk – „jakby ktoś, no jakby po prostu płakał gdzieś blisko”...

Żadne „jakby”. Naprawdę ktoś płacze.
To izraelscy studenci – przywiózł ich biały autokar –
płaczą. Zaciskając rękami usta.
Szloch – wycie – jęk.
Wypuście! Wypuście stąd –
na zewnątrz –
na powietrze.

Za ogrodzeniem z drutu kolczastego, niemal stykając się z nim, prywatne domy i ogródki. Życie u stóp wygasłego wulkanu przy służbowym wejściu do piekła.

Krew woła.

Jednak prędzej czy później, dla samozachowania, mózg blokuje powtarzający się dźwięk. Podobnie jak ci, którzy mieszkają przy torach kolejowych, przestają z czasem słyszeć łoskot kół, tak mieszkających w pobliżu Herkulanum nie budzą już krzyki ich pradawnych sąsiadów, a czarny popiół nie osiada na powierzchni uporządkowanej codzienności.

Z baraku do baraku – przez cały ten zakonserwowany koszmar – do baraku – muzeum. Pełno tu przeszklonych gablot z listami, fotografiami, rzeczami osobistymi i tysiącami historii podświetlonych diodowymi lampami.

Nagle, pośrodku sali –

...Żółw.

(Nić napięta się, a dwa duże koraliki obróciły się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara).

Żółw. Ogromna rzeźba żółwia z cementu.

Więzień Majdanka, rzeźbiarz Albin Maria Boniecki, stworzył ją tutaj w 1943 roku.

Postanowiono, że rzeźba Żółwia ma stanąć przy polu nr 3, by komendanci, idąc do pracy, mogli ją podziwiać. Ale to nie był zwykły żółw. To skamieniała figa. Kod, tajne przesłanie. W czasach okupacji żółwie rysowano na murach i chodnikach miast. Był to dobrze znany symbol drobnego sabotażu: „Pracuj powoli i bez zapału, ale pozostawaj w ciągłym ruchu, nie dawaj strażnikom obozu powodu do bicia”.

...Puk-puk.

Mińsk. Sierpień. Mój bliski przyjaciel pokazuje mi ślady pobicia. Opowiada o tym, co się wydarzyło, oszczędnie, bez szczegółów. Jego plecy i nogi pokryte są podłużnymi, tłustymi krwinkami po policyjnych pałkach.

Krew krzyczy.

Krwinki też.

Bili go bez powodu.

Wszystkich bili bez powodu.

Ale czy sama chęć bicia i znęcania się nie jest dobrym powodem?

Zaspokojenie tego głodu – czy to nie powód?

Żółw stanął na metrowym podeście zbudowanym z kamieni i fragmentów macew ze starego żydowskiego cmentarza (!), użyto ich, by ocalić przynajmniej te szczątki przed dalszym zbezczeszczeniem. Za podestem zasadzono powojniki, irysy i nagietki, bo nawet najbardziej bezgraniczna pustynia musi mieć swoją oazę, choćby tylko w postaci mirażu.

Więźniowie widzieli rzeźbę z daleka i często – jak wspominali ci, którzy przeżyli, uśmiechali się na jej widok.

...Puk-puk.

Też często uśmiecaliśmy się na widok białych bransoletek na nadgarstkach przechodniów i białych papierowych kartek przyklejonych do okien.

Uśmiecaliśmy się, bo to był nasz kod, nasze tajne przestania.

Uśmiecaliśmy się do naszego Żółwia.

Są słowa, bez których nie da się opowiedzieć swojej historii.

I są słowa, bez których nie da się zrozumieć historii opowiedzianej tobie.

Cmentarz i Żółw.

Słowa, które były mi potrzebne w obu przypadkach.

Moje pierwsze polskie słowa.

Sznur koralu zadraża. Zawibrowały wszystkie paciorki naraz. I zamarły.

Do następnego razu.

Rzeźbiarz Boniecki uciekł z Majdanka.

Po wojnie wyjechał do Francji.

Samotność

Gombrowicz przyznawał: „Nie łatwo być pisarzem na miarę emigracji, gdyż jest to miara zupełnej prawie samotności”.

Co o tym myśleć?

W teatrze na przykład istnieje pojęcie samotności publicznej. To umiejętność odcięcia się od widza, od sali i wszystkiego, co znajduje się poza granicą spektaklu. Ale w życiu samotność publiczna nie jest zabiegiem artystycznym – to uczucie jak najbardziej organiczne, którego łatwo doznać zarówno wśród obcych, jak i „swoich”.

Ale kim właściwie są „swoi”? Przyjaciele? Ludzie myślący podobnie? Krewni? Osoby tej samej narodowości? Ci, którzy mówią twoim językiem? A kim są obcy? Być może tymi, którzy nie są nikim z nich?

Czy obcy mogą stać się swoimi? A swoi – obcymi?

W powszechnym rozumieniu – jak mi się zdaje – „swoich” można podzielić na podważalnie i niepodważalnie swoich. Ci pierwsi – to ci, którym wolno przejść ze statusu „swoich” do „obcych”: są nimi na przykład przyjaciele czy towarzysze ideowi. Ci drudzy – krewni i ziomkowie – takiego prawa nie mają. A raczej: to ty nie masz prawa im go przyznać. I jeśli nagle poczujesz się samotny wśród „niepodważalnie” swoich, lepiej nie przyznawaj się do tego. Niepodważalnie „swoi” tego nie rozumieją, tak jak nie rozumieją, że na obcej ziemi – z jakiegoś niepojętego powodu – nie czujesz się obcy. Ty sam też tego nie rozumiesz. To trochę tak, jakbyś przez całe życie był przekonany, że pod wodą nie da się długo przeżyć – a potem, zanurzwszy się głęboko, niespodziewanie dla siebie oddychasz pełną piersią. Głębiej niż kiedykolwiek na lądzie.

Gombrowicz chce odebrać mi ten komfort. Nie daje zapomnieć, gdzie kończy się swoboda. „Wszystko ciągle płynie – przypomina ustami Józia z *Ferdynurka* – przelewa się, rusza i każdy musi być odczuty, oceniony przez każdego. Gdyż człowiek jest najgłębiej uzależniony od swego odbicia w duszy drugiego człowieka, chociażby ta dusza była kretyniczna. (...) O, te sądy ludzkie, ta otchłań sądów i opinii o twoim rozumie, sercu, (...) o wszystkich szczegółach twojej organizacji”.

Dom

Pewnego razu pewien pijany człowiek powiedział mi, że Białorusini bombardują Ukrainę i są z tego dumni, a jego brzydzi, że tacy jak ja chodzą po jego ziemi.

Ciekawe, że kiedy pierwszy raz stykasz się z ksenofobią, uderza cię jej niszczycielska, reaktywna siła (pamiętam, że po pierwszym razie miałem wrażenie, jakby całe moje ciało zostało przeszyte odłamkami pocisku). Ale najwyraźniej z czasem tworzy się coś w rodzaju odporności (emigracyjnej odporności) i tego obezwładniającego, bolesnego efektu już nie ma. Zostaje tylko ciekawość.

To jest naprawdę interesujące, że na świecie są tacy ludzie, których brzydzi, że ktoś chodzi po „ich ziemi”. Jak to jest czuć obrzydzenie z tego powodu?

A ja nie tylko chodzę, a nawet – o rany! – tu mieszkam i, co zapewne jest już zupełnie niedopuszczalne – nazywam miejsce, w którym mieszkam, „domem”.

„Idę do domu”.

„Jeszcze jestem w domu”.

„Wpadnę do domu i zaraz wracam”.

Kiedy to mówię, mam na myśli polskie mieszkanie, w którym żyję. I żadne inne.

Kiedy wyjeżdżałem z Mińska, powiedziałem mojemu terapeutce, że jadę, by znaleźć dom. Wcześniej nigdzie i nigdy nie czułem się w domu. Gdzie ten dom jest i jak wygląda – nie wiedziałem. I nadal nie wiem. Ale czasami czuję, że na pewno istnieje.

Przez ostatni rok w Mińsku pytano mnie:

– Jeszcze tu jesteś?

Pierwszego roku w Polsce pytano mnie:

– Przyjechałeś tu na zawsze?

Miedzy tymi dwoma pytaniami – niebył.

Pustka.

Przepaść między wycofaniem „tu” a jeszcze niezaistniałym „tam”.

Udręczona nieobecność.

Fantomowy ból znikającego ciała.

Jakby wszystkie części mnie istniały obok siebie, ale nie razem. Jakby nie znaly się nawzajem, nie ufały sobie, nie chciały mówić jednym głosem. Jakby każdy gest, każdy wyraz, każdy oddech przechodził przez filtr obcości.

W takim stanie przypomina mi się Józio z *Ferdydurke*, gdy mówi:

„Leżałem w mętym świetle, a ciało moje bało się nieznośnie, uciskając strachem mego ducha, duch uciskał ciało (...). Był to lęk nieistnienia, strach niebytu, niepokój niezycia, obawa nierzeczywistości, krzyk biologiczny wszystkich komórek, moich wobec wewnętrznego rozdarcia, rozproszenia i rozproskowania (...), strach przed gwałtem, który miałem w sobie i przed tym, który zagrażał od zewnątrz – a co najważniejsze, ciągle mi towarzyszyło, ani na krok nie odstępując coś, co mógłbym nazwać samopoczuciem wewnętrznego, międzycząsteczkowego przedrzeźniania i szyderstwa, wsobnego prześmiechu rozwydrzonych części mego ciała i analogicznych części mego ducha (...). Widziałem nos niewyrośnięty na twarzy niedokształtowanej i ręce za wielkie – czułem niemłą konsystencję tej fazy rozwoju pośredniej, przejściowej (...). A dalej, wydawało mi się w półśnie, że niektóre części są jeszcze chłopiące i że moja głowa wykpiwa i wyszydza łydkę, łydka zasię głowę, że łydka nabija się z serca, serce z mózgu, nos z oka, oko z nosa rechocze i ryczy – wszystkie te części gwałciły się dziko w atmosferze wszechobejmującego i przejmującego panszyderstwa”.

Teraz, kiedy jestem tu już długo, często zadaję sobie pytanie: „Czy jestem tu na zawsze?”.

Kiedyś podczas spaceru z białoruskimi znajomymi, którzy też wyjechali, ktoś nagle powiedział:

– Wyobraźcie sobie, że tu się zestarzejemy i umrzemy. – Wszyscy zamilkli, wyobrażając to sobie.

Mój polski przyjaciel, kiedy mówię coś w stylu „u was w Polsce...”, zawsze mnie poraża, mając nadzieję, że złagodzi i przyspieszy moją adaptację:

– Nie u was, a u nas... – czyli nie tam, a tu.

A skoro już jesteś tu, więc mów – tu.

A kiedy się nauczysz, obłaskawisz to „tu”, łatwiej będzie dodać „na zawsze”.

(W razie potrzeby).

Lublin

„Do miasta, gdzie człowiek jest mniejszy, lepiej osadzony w ludziach i podobniejszy do ludzi”.

Pierwsze miejsce, które cię przyciągnie, na zawsze pozostanie ważniejsze niż wszystkie kolejne. Będzie jak nieznajomy, który udzielił ci schronienia, jak ratownik, który wyciągnął cię z otchłani. Będziesz mu wdzięczny do końca życia. Nigdy nie zapomnisz jego twarzy. Dla mnie takim miejscem jest Lublin.

Lublin to chłopak przystojny, poważny i surowy. Ma mocny uścisk dłoni, a w ramiona bierze cię delikatnie. Bez zbędnej egzaltacji. Patrzy przed siebie, ale nie prosto w oczy – jakby zerka ponad czyimś ramieniem. Patrzy wzrokiem, który widział więcej rzeczy okropnych niż pięknych.

Ma oczy, które już nie potrafią płakać.

Na turystów spoglądają obojętnie, na beztrojskich i roześmianych – pobłaźliwie, na znanych tubylców – życzliwie, tylko na zagubionych, złęczonych, na poranionych, poharatanych – z czułością.

Dużo chodzę. Aż za dużo, do bólu. Czasem myślę, że tylko podczas chodzenia czuję się naprawdę żywy. A czasem – że to przedłużająca się ucieczka, która nie ma końca, bo nie znam ani punktu wyjścia, ani punktu dojścia.

Przez trzy lata aktywnego błędzenia po tym skamieniałym, napiętym, sztywnym ciełe – po jego potylicy, biodrach, pachwinie, piersi, i znowu piersi, i znowu potylicy – nauczyłem się na pamięć wszystkich turystów, wszystkich miejscowych, wszystkich birbantów i imprezowiczów, przede wszystkim – wszystkich zagubionych, złęczonych, wszystkich poranionych, poharatanych. Pojawiają się i znikają. I znowu pojawiają się, jakby wcale nie znikali. Każdy ma swoje miejsce i każdy pozostaje samotny i samowystarczyalny. Sam dla siebie jest miastem, sam dla siebie jest światem – spójnym, lecz dla nikogo nieprzeniknionym.

Od wczesnego wieczora do nocy przy wejściu na Stare Miasto tańczy starszy, niewysoki mężczyzna. Wymachuje uniesionymi rękami i podrygując, przestępuje z nogi na nogę. Przed nim na asfalcie i pobliskiej ławce rozłożony jest cały ołtarz – radio na baterie, sztuczne kwiaty, maskotki, figurki, plastikowe bibeloty. Za każdym razem zestaw jest inny, nie do zapamiętania. Często ma na głowie nowy kapelusz, czapkę albo inną ozdobę.

Tańczy zawzięcie.

U jego stóp złoty chiński kotek równie zawzięcie macha łapką.

Na tej samej ulicy, po przeciwnej stronie, w południe można spotkać pianistkę. Kobieta około sześćdziesiątki, w rozpiętym płaszczu i z rozpuszczonymi siwymi włosami gra na zabawkowym pianinie. Dwoma, trzema palcami kołysze tam i z powrotem niesłyszany dotąd interwał – coś między sekstą a septymą wymyślonymi w innej galaktyce – i śpiewa. Cicho, bardzo cicho. (W moim poprzednim życiu właśnie tak śpiewała stara lodówka. Myślałem, że to anioły). Piosenka i akompaniament zawsze są te same. Podobnie jak alienacja i niezależność od tego świata.

Na rogu starej kamienicy dzień w dzień przesiaduje człowiek z wolem. Ma małe oczy, tysiąc głowę, tatuaż na ręce i wielki guz w miejscu krtani – jakby jego twarz była wydłużona, jak u jakiejś postaci z baśni ludowej. Siedzi na murku przy oknie piwnicy. Schludny, spokojny. Nie tańczy, nie śpiewa. I nigdzie nie idzie. Wieczorami otacza go grupka nastolatków. Gadają ze sobą jak starzy znajomi.

Przy kawiarnianym stoliku (ile razy idę, zawsze jest!) siedzi blady, wąsaty pan i czyta. Na stole kawa, paczka papierosów, książka. On pali i czyta. Pali i czyta. Tylko raz zobaczyłem, jak idzie, nie siedzi. Szedł w swojej starej kurtce. Poruszał się z trudem, ociężale. I palił. I czytał.

Drobna alkoholiczka o twarzy starego dziecka chodzi od stolika do stolika. Ma cienkie, kruche, ptasie nóżki. Chwiejące się, niepewne. Jest niezgrabna i wzruszająca. Jak lalka z drutu i szmatek. Jak mumia nierozkwitłego kwiatu.

W centrum, w okolicach parku, można czasem spotkać kobietę z kottunem. Rzadko się pojawia. Wciąż gdzieś idzie, tak jak ja. Na jej sympatycznej, piegowanej twarzy zawsze są trzy grube plamy białego kremu – dwie na policzkach, jedna na czole. Jak trzy bezy. Jak małe lodowce. W ręku – walizka na kółkach. Na głowie ogromny kottun-dred – łopata-ogon, regulator równowagi. Idzie szybko. Jest skupiona, z trwogą patrzy przed siebie.

A Miasto patrzy na nią.

Miasto patrzy na nich.

Z wysokości strażniczej wieży. A może wyżej.

Z głębi podziemnej rzeki. A może głębiej.

Spoza zakrętów, przez mosty, przez krzyże kościelne i chórągiewki.

Patrzy potylicą, pachwiną, biodrem, zębem.

Z czułością. I ze smutkiem.

Znam to spojrzenie.

Lubię to spojrzenie.

Na mnie też tak patrzy.

Sny

„Sen, który mnie trapił w nocy i obudził, był wykładnikiem lęku... Zbudziłem się w śmiechu i w strachu... Gdyż na jawie byłem równie nie ustalony, rozdarty – jak we śnie. Ukradkiem spod kołdry patrzyłem jakby nie na siebie i widziałem tę twarz, która była moją i nie moją...”.

Gombrowicz dobrze wiedział, że lęk mówi językiem snów.

O mieście, w którym urodziłem się i w którym przeżyłem 38 lat, w ogóle nie myślę. Nie wołam go, gdy mając w gorączkowym zapomnieniu, nie wspominam w chwilach smutku – przypadkiem, mimochodem, nigdy.

A jeśli już się przyśni, to zawsze jako koszmar. Coś chorego i okrutnego.

Jak miejsce wypadku śni się temu, kto cudem przeżył katastrofę.

Metoda Prousta też nie działa – ani smak, ani zapach, nic mnie do niego nie przenosi. Ani nie przynosi go do mnie. Tylko czasem, kiedy w Internecie trafiam na zdjęcia z Mińska, coś lekko drga wewnątrz, ale tak nieznacznie, że nie sposób zrozumieć, co to właściwie jest. Drga jak tiulowa zasłona poruszona przeciągiem w uchylonym oknie w jasny, bezwietrzny dzień.

Nie było między nami wielkiej miłości, ale wydawało mi się, że rozstaniemy się jako przyjaciele. Może niezbyt bliscy. Ale nie.

Ostatnie, co z niego pamiętam, to to, że nagle stał się zupełnie obcy.

I jak na obcego przystało – zdystansowany i zimny.

Chodziłem po nim jak we śnie.

„Boże, naprawdę była tu ta ulica? Skąd się wzięła?”

Jak to możliwe?

Jak to możliwe, że kiedy człowiek wyjeżdża i ogląda się za siebie (choć przedtem przysięgał, że tego nie zrobi), to nie zmienia się w słup soli sam, tylko w słup soli zamienia się miasto.

Skamieniała Sodomia – twój nieszczęsny dom.

Starotestamentowy Bóg, oprócz garści łotrów, ukarał przy okazji także niewinnych. Na wszelki wypadek.

Trudno pojąć, dlaczego w mgnieniu oka to, co znane, nagle zmienia się nie do poznania, a to, co bliskie staje się obce.

I na odwrót.

To, co było bliskie, przypomina ptaka, który zmarł przed chwilą i wygląda, jakby jeszcze żył.

Ale przecież wiemy, że nie żyje. Czegoś mu brakuje.

To przypomina sen, który udaje rzeczywistość.

I przez moment – jest łudząco do niej podobny.

...We śnie długo idę do domu rodzinnego.

Okazuje się, że to nie jest on.

Wokół niby wszystko się zgadza, ale drzwi do klatki schodowej mają inny kolor.
I są zamknięte.

Cały dziewięciopiętrowy blok jest zamknięty na głucho.

Zgubiłem się. Pomyliłem.

Źle trafiłem.

Wchodzę do sklepu i wypijam kieliszek czerwonego wina.

Kasjerka mówi do mnie po polsku.

Pytam ją, jak mam znaleźć dom moich rodziców.

Po co wróciłem?

Słońce.

Dzielnica mojego dzieciństwa (w bloku obok była kiedyś księgarnia.

Dawno już jej tam nie ma).

Po co wróciłem?

Wszystko się rozmywa.

Budzę się.

W innym śnie – mama ucharakteryzowana na Marlenę Dietrich pyta:

– Wróciłeś?

– Nie – odpowiadam.

A gdy już się obudziłem, to jak bohater *Ferdydurke*: „na jawie [czułem się] równie nie ustalony, rozdarty – jak we śnie... Ukradkiem spod kołdry patrzyłem jakby nie na siebie i widziałem tę twarz, która była moją i nie moją”.

Ogród

Nowe dekoracje, nowe *mise en scène* nowego spektaklu – nowego życia – wywołują w tobie nowego bohatera, wywabiają go z ciebie. Ta rola nie została jeszcze przeciwicona, nie została przyswojona, więc lęk i chwiejność pierwszych kroków na nowej scenie są w pełni zrozumiałe. Jak w dziwnych snach o teatrze, w których nagle nie pamiętasz swojego tekstu i nie poznajesz partnerów. Chwiejąc się, próbujesz zaistnieć w zaproponowanych okolicznościach, opierając się (by nie upaść) na własnych, wypracowanych

przez lata schematach. Jak Szekspirowska Gertruda spoglądasz w głąb siebie, do wewnętrznego ogrodu, z nadzieją, że znajdziesz jeszcze jeden sprawdzony aktorski chwyt. Ludzki chwyt. Oparcie.

I uświadamiasz sobie, że nic z tego, co znajdziesz, już ci nie pomoże.

I nie zadziała w tym nowym spektaklu.

Widzisz, że twój ogród rozkwitł zupełnie innymi kwiatami.

Ptaki śpiewają w nim teraz inaczej.

Na starych drzewach dojrzewają nieznane owoce.

To drzewo, które kochałeś – uschło. Ale obok wyrasta już nowe.

W dawno opuszczonym gnieździe znów są pisklęta.

Zresztą sam ogród jakby się powiększył, rozszerzył.

A może zawsze taki był?

Rozmiarem – jak mały kraj.

Może zawsze taki był?

Czy nie o takim kraju pisze Gombrowicz w swoich *Dziennikach*?

„Literatura moja musi pozostać tym czym jest. Tym zwłaszcza, co nie mieści się w polityce i nie chce jej służyć. Ja uprawiam jedną jedyną politykę: własną. Jestem osobnym państwem”.

Ogród-kraj, do którego uciekałeś kiedyś, by znaleźć odpowiedź, jak zagrać tamtą wcześniejszą rolę.

Ogród, w którym chowałeś się, gdy nie chciałeś brać udziału w tamtym przedstawieniu.

Ogród wewnętrznej emigracji. (Wielu taki miało).

A teraz emigracja stała się zewnętrzną – i wszystko się zmieniło.

I ogród się zmienił.

Z wewnętrznej emigracji – w wewnętrzny Kosmos.

Miejsce spotęgowanego działania sił.

Jeszcze nie wiem, jak zagrać ten nowy spektakl.

Przecież na początku nigdy się nie wie.

Jak się nie wie, czy nowa rola będzie udana.

Ale dlaczego miałyby się nie udać?

Monodram Aleksandra Kazetły *Trans-Atlantyk*: Mińsk–Lublin powstał w ramach stypendium MKiDN Gaude Polonia 2025 pod opieką profesor Żanety Nalewajk-Tureckiej.